



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stanisław Nowak

Powrót do gniazda

Kiedy wybuchła II wojna światowa miałem 7 lat. Mieszkaliśmy wtedy w Jędrzejowie u wujka Sitka, tuż przy szosie biegnącej z Ostrowca Świętokrzyskiego na Opatów. Najdłużej jednak, bo przeszło 2 lata okupacji niemieckiej mieszkaliśmy w Przyborowie – niewielkiej wsi położonej między Bodzechowem a Wólką Bodzechowską.

* * *

Na krótko przed wojną atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Wszędzie wokół widziało się afisze z napisami: „Jesteśmy silni i zwarci”, „Nie oddamy ani guzika” itp. Nastąpiła demonstracja siły w postaci ćwiczeń wojskowych, przemarszów różnych organizacji paramilitarnych, jak na przykład Ligi Morskiej, a w moim najbliższym środowisku zaczęły odzywać nastroje patriotyczne i antyniemieckie.

Tymczasem wojna zbliżała się milowymi krokami, wisiała na włosku i czuć było jej złowieszczy powiew. Najpierw ogłoszono częściową, a następnie powszechną mobilizację. Mój ojciec został reklamowany jako robotnik Zakładów Martenowskich w Ostrowcu produkujących na potrzeby wojska. Spośród naszych krewnych powołany został jedynie wujek Stasiek Wielgus.

Wreszcie przyszła złowroga wieść – wojna! Niemcy napadły na Polskę! Parę dni później po raz pierwszy widziałem nieprzyjacielskie bombowce z czarnymi krzyżami na skrzydłach i kadłubie bombardujące Ostrowiec, w tym i Zakłady Martenowskie oraz ostrzał prowadzony przez naszą artylerię przeciwlotniczą. Jednej nocy niedaleko od nas spadł zahaczając o przewody telefoniczne niemiecki samolot pościgowy. Nie wiedzieliśmy, czy został uszkodzony przez naszą artylerię przeciwlotniczą czy też za nisko leciał. Kiedy rano pobiegliśmy w to miejsce pilota już nie było, ale okazało się, że samolot nie był bardzo uszkodzony.

W tym czasie mężczyźni w wieku poborowym masowo uciekali na wschód w kierunku Lublina, a w mieście trwały gorączkowe prace przy budowie schronów. Po paru dniach wojażki i rozbiciu jego oddziału powrócił z wojny wujek Stasiek. Niemal natychmiast przystąpili z moim ojcem do roboty. Przy skale niedaleko zabudowań wujostwa Wielgusów wykopali duży dół, który służył nam za schronienie w czasie bombardowania. Ojciec z wujkiem zastanawiali się, czy uciekać na wschód czy też pozostać w domu. W końcu za namową matki i ciotki pozostali na miejscu. A wojna na naszym terenie wkrótce się skończyła i rozpoczęła się niemiecka okupacja, której skutków nikt nie przewidywał.

Ja sam jako młody chłopak przyjąłem wybuch wojny z jednej strony z pewnym niepokojem, że może nam się stać coś złego, z drugiej natomiast z dużym zainteresowaniem, jako coś nowego, o czym

dotychczas nie miałem najmniejszego wyobrażenia. Nie zdawałem sobie również sprawy z tego, co mnie i mojej rodzinie przyniesie okupacja.

Moje pierwsze spotkanie z żołnierzami niemieckimi nastąpiło któregoś pogodnego, prawie upalnego dnia, kiedy ujrzałem maszerującą z kierunku Ostrowca długą kolumnę wojska. Okazało się, że są to nasi jeńcy wojenni, konwojowani przez Niemców. Jacy oni byli spoceni, zakurzeni i zmęczeni! Aż żal było patrzeć. Moja matka i pozostałe kobiety z sąsiedztwa nakroiły chleba do misek, nabrały wody do butelek i zaczęły ich częstować w marszu. Niektórzy konwojenci nie zwracali na to uwagi i pozwalali na poczęstunek, natomiast inni zdecydowanie i brutalnie – używając nawet kolb karabinów – odganiaли kobiety od kolumny jeńców. Już w tym momencie dało się zauważyć, że wśród żołnierzy niemieckich są ludzie dobrzy i źli, co w znacznej mierze potwierdziły dalsze lata okupacji.

Po upływie niecałego tygodnia w okolicy naszych i sąsiednich zabudowań rozłożyła namioty jakaś jednostka niemiecka, składająca się z kilkunastu samochodów i motocykli oraz paru działek przeciwlotniczych. Żołnierze – trzeba to przyznać – zachowywali się wtedy dość poprawnie. O ziemniaki na przykład prosili, a nie zabierali, jak to miało miejsce później – w następnych latach okupacji – i nie dokuczali nam specjalnie.

Byliśmy przekonani, że wojna skończyła się już na dobre, aż tu pierwszej niedzieli od zakwaterowania wokół nas tej jednostki, o świcie nadleciał nasz polski samolot myśliwski i zataczając koła rozpoczął ostrzał z karabinu maszynowego niemieckich samochodów i namiotów. Mieliliśmy trochę strachu, ale i wielki ubaw, widząc przez okno jak Niemcy w kalesonach wyskakują z namiotów i biegną do działek przeciwlotniczych. Zanim zaczęli strzelać samolot już odleciał i po paru krótkich seriach działek przeciwlotniczych zapanowała cisza.

Natychmiast po odjeździe Niemców, my chłopaki, spenetrowaliśmy teren obozowiska. Czego my tam nie znaleźliśmy! Różnego rodzaju paski skórzane – krótsze i dłuższe, małą blaszaną składaną kuchenkę na skondensowany spirytus i parę kostek tego spirytusu. Nawet kilkanaście sztuk naboju karabinowych i o dziwo – granat zaczepny. Amunicję i granat oczywiście zabrał nam mój ojciec i przechowywał w bezpiecznym miejscu do 1942 roku, kiedy te „akcesoria” stały się uzupełnieniem uzbrojenia naszych oddziałów partyzanckich GL i AL. Niezwykłą frajdę sprawiło nam znalezienie kilku blaszanych puszek po miodzie pszczelim (Niemcy wyposażeni byli nie tylko w nowoczesny sprzęt wojskowy, ale i znakomicie odżywiani), na dnie których pozostały spore ilości tego nektaru. Ależ zajadaliśmy się tym miodem! Po raz pierwszy dane mi było poznać jego smak i przekonać się, jaki jest dobry. Takich smakołyków nie znalazłem ani przedtem, ani też w późniejszych latach okupacji.

* * *

Najcięższy okres okupacji przeżyliśmy w Przyborowie, we wsi – jak sama nazwa wskazuje – położonej tuż przy lesie. Mieszkaliśmy tu na lokatorskim u państwa Golców, przez ścianę z nimi. Zajmowaliśmy jedno pomieszczenie, a nasza rodzina składała się z sześciu osób – rodziców i czwórki dzieci, z których ja byłem najstarszy. Mieszkanie drewniane i w opłakanym stanie. Zimą – zimne (zamiast podłogi ubita glina), wiosną i jesienią w czasie deszczu mokre z powodu przeciekającego dachu. Ale cóż – na luksusy nie było nas stać. Jakby na domiar złego, nie dość, że mieszkaliśmy w tak prymitywnych warunkach, coraz bardziej zaczęła nam doskwierać bieda. Coraz częściej głodowaliśmy i nie mieliśmy w czym chodzić. Ojciec wprawdzie pracował nadal w Zakładach Martenowskich w Ostrowcu, ale jego zarobki nie wystarczały prawie na nic. Rodzice robili co mogli, aby nas wyżywić, ale zawsze byliśmy głodni, obdarci i bosy. Jadaliśmy przeważnie ziemniaki w różnej postaci, m.in. gotowane do barszczu (żurku), w wodnistej zupie, a nawet lebiodę, gdy tych zabrakło. Z tartych ziemniaków, po dodaniu odrobiny czarnej, zmielonej na żarnach mąki robiło się tzw. gały i jadło się je razem z tą wodą, w której się gotowały, bez jakiegokolwiek okraszenia słoniną lub innym tłuszczem. Do tego jakiś tam kawałek chleba i to nie zawsze, bo z chlebem też było różnie – raz był, a częściej go nie było. Ojciec, jako ciężko pracujący, dostawał w zakładzie pół bochenka chleba, ale nie zjadał go na miejscu, lecz przynosił do domu. Przeważnie kładł go na kredensie, a my dzieci siedzieliśmy i wpatrywaliśmy się w niego głodnymi oczami. Wtedy ojciec nie wytrzymywał naszego wzroku i po przydzieleniu każdemu z nas jakiejś czynności do wykonania – jakoby w nagrodę – dawał nam po kromce chleba. Aby się jakoś wyżywić i włożyć cokolwiek jadalnego do ust, chwytałyśmy się różnych sposobów. Zbieraliśmy w lesie jagody i grzyby, pędziliśmy z buraków bimber na sprzedaż lub jako wymianę na żywność. Zbieraliśmy ziemniaki po wykopkach oraz kłosa zbóż na ścierniskach w majątkach, z których nieraz przeganiał nas karbowy. Chodziliśmy nawet (matka i ja) żebrząc po okolicznych wioskach. Dla urozmaicenia naszego „jadłospisu” zimową porą chodziliśmy z ojcem do lisiarni (hodowla lisów) za Sowią Górę. Leżały tam martwe, zamrożone konie, przeznaczone na karmę dla lisów. Rąbaliśmy siekierą co lepsze szynki, kładliśmy do worków i do domu. Nie zapomnę rozchodzącego się po mieszkaniu zapachu gotującego się mięsa. Ale była wyzerka! Oczywiście na jakiś czas. Później znów brakowało jedzenia, a zwłaszcza mięsa.

W Bodzechowie był majątek ziemski Lisinów. Od pałacu dziedzica w kierunku na wschód, wzdłuż szosy, rozciąga się duże wzniesienie porośnięte starymi, grubymi i bardzo wysokimi świerkami, na których gniazdowały wrony. Tu wiosną przychodziliśmy z ojcem po młode wrony. Ojciec zakładał sobie na nogi pasek od spodni i w ten sposób wspinał się po świerku do góry, aż do gałęzi i gniazd, a następnie zrzucał młode ptaki na ziemię. Obserwując go miałem niemało strachu. Po pierwsze bałem się żeby nie spadł wspinając się w górę, a po drugie, aby go nie zrzuciły atakujące, stare wrony broniące zaciekle swoich młodych. Na szczęście wszystko kończyło się dobrze i znów na jakiś czas było co włożyć do garnka. Młode wrony smakowały jak najlepsze kurczaki.

Jadłem nie tylko koninę i młode wrony, ale i mięso z zabitego psa. Pewnego dnia, będąc u babci w Jędrzejowie, zostałem poczęstowany gotowanym mięsem. Po zjedzeniu, babcia zapytała, czy wiem, co to było. Odpowiedziałem, że wieprzowina. Wyjaśniła mi, że jadłem mięso z psa, który został zabity na smalec dla chorego na płuca wujka Bronka. Stwierdziłem, że nieważne jakie to jest mięso – grunt, że było smaczne (rzeczywiście smakowało jak wieprzowina) i najadłem się do syta, jak rzadko kiedy.

Kiedyś przebywałem u babci razem ze swoją siostrą Zosią. Ona została w domu, a ja poszedłem na plac pobawić się z rówieśnikami. Pod wieczór Zosia wychodzi z mieszkania i stojąc na górcie krzyczy do mnie: „Stasiu! Chodź na okraszoną zalewajkę!” Okraszona zalewajka! Jakże dawno nie jadłem takiego „rarytasu”! Zabawa z rówieśnikami była wspaniała, ale czym prędzej ruszyłem pod górkę do domu.

Chyba niewiele wie, jak smakuje chleb upieczony z mąki żytniej i jęczmiennej, zmielonej na żarnach. Taki chleb, upieczony przez matkę z kłosów uzbieranych na ścierniskach jadaliliśmy aby zaspokoić głód. Trudno było go ukroić, bo kruszył się jak wióry, trzeszczał w zębach i miał jakiś dziwny, gorzkawy smak, ale żołądek nie był już pusty.

Niedostatki w naszej rodzinie dotyczyły nie tylko żywności. Nie było czym się odziać i w czym chodzić. Latem jeszcze pół biedy, bo matka przerabiała nam różne ciuchy, ojciec robił sandały na drewnianych spodach, chociaż przeważnie chodziło się boso i jakoś to było. Gorzej było zimą – to wyżebrana jakaś kapotka, to przerobione majtki lub zrobione na drutach przez matkę pończochy, to wykonane przez ojca drewniaki, obite samodzielnie wygarbowaną skórą, która przemakała przy najmniejszej wilgoci. Z tego też powodu skazani byliśmy na spędzanie większości dni zimowych w domu. A przecież młodość ma swoje prawa i nawet w tak ubogim stanie chciało się chociaż troszeczkę pohasać – poślizgać się na zmajstrowanych z desek sankach po lodzie na łąkach lub pojeździć na nartach zrobionych z klepek starych beczek.

Nie ominęły nas też, z braku mydła, wszawica i świerzby. Pranie bielizny i pościeli w popiele drzewnym nie na wiele się zdało i nie zapobiegło tej pladze ubóstwa. Pamiętam jak nas swędziało całe ciało, jak drapaliśmy się i „czochrali”. Dopiero po jakimś czasie matce udało się zdobyć jakiś płyn i pozbyliśmy się tego świństwa.

Byliśmy również owrzodzeni z braku odpowiedniego wyżywienia i niewłaściwej przemiany materii. Czyraki wyskakiwały nam się na całym ciele, ale ich „ulubionym” miejscem były przeważnie kark i głowa. Nie było na nie lekarstwa. Jedynym sposobem było przeczekać aż „dojrzeją” i wycisnąć ropy. Ale gdy jednego się wycisnęło, to drugi się wybudował i tak bez końca – wkoło Macieju.

* * *

Twarda i nieustępliwa jest natura ludzka. Nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach nie poddaje się biedzie i stara się trzymać życia oraz zachować i kultywować swoje tradycje.

Zawsze przed zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia rodzice urządzali biedną, symboliczną choinkę. Ojciec przynosił z lasu świerk, matka kupowała trochę cukru, rozpuszczała go w garnku na gorącej blasze kuchni i mieszała ze śmietaną. Następnie po wystygnięciu masę tę kroila na małe kawałki, które zawinięte w różnokolorowe papierki zawisały na choince jako cukierki. Do tego parę jabłek, stare łańcuchy, aniołki, gwiazdy i choinka była ubrana. I tak, chociaż bez świeczek, ale przy świetle lampy karbidowej i byle jakim jedzeniu, mieliśmy przynajmniej namiastkę świąt Bożego Narodzenia.

* * *

Podczas zamieszkiwania w Przyborowie zacząłem uczęszczać do II klasy szkoły powszechnej w Bodzechowie (I klasę ukończyłem w Miłkowie na przełomie lat 1939/40). Nauka ograniczała się do czytania, pisania i rachowania. Moim nauczycielem był pan Kołodziej, który nie przykładał się do tego żeby nas wiele nauczyć. Coś tam zadał do przerobienia na lekcji i czytając książkę czekał na dzwonek lub wychodził z klasy, a my wtedy szaleliśmy. I w ten sposób po ukończeniu II klasy umiałem zaledwie czytać i pisać oraz coś tam policzyć. Na II klasie skończyła się moja edukacja, ponieważ decyzją władz niemieckich szkoła została zamknięta.

Chodziłem również w tym czasie na naukę religii do kościoła w Bodzechowie. Tu właśnie ksiądz Nita przygotowywał mnie do I Komunii św., w czym wykazywałem duże zaangażowanie i wielką pobożność. Ksiądz doceniając moją głęboką wiarę w Boga, a równocześnie widząc biedę i ubóstwo, w jakim się znajdowałem, w nagrodę podarował mi kupon na buty. Na drugi dzień poszliśmy z matką do Ostrowca i za przysłowiowe ostatnie grosze kupiliśmy trzewiki. Cieszyłem się nimi niezmiernie i byłem bardzo wdzięczny za to księdzu. Były to przecież buty skórzane, a nie drewniaki. W ten sposób do I Komunii św. przystąpiłem w swoim nowym obuwiu, ale za to w pożyczonej kremowej bluzce i czarnych krótkich spodenkach.

Ksiądz Nita zapisał się w mojej pamięci jako człowiek miły i pogodny, a jednocześnie współczujący ludziom biednym.

* * *

Lata 1943-1944 były szczególnym okresem w moim młodym życiu. Front wschodni zbliżał się do nas coraz bardziej. Organizowała się GL i AL, powstawały coraz liczniejsze oddziały leśne i garnizony tej formacji, a równocześnie zaostrzał się terror okupanta. Częściej docierały do nas wiadomości o rozstrzelanych przez gestapo w Ostrowcu zakładnikach lub osobach schwytanych w czasie łapanek, albo o pacyfikacjach, czy też spaleni niektórych wsi, jak to miało miejsce w Michniowie, gdzie hitlerowcy wybili do nogi wszystkich mieszkańców nie oszczędzając nawet niemowlaków. Napływały również wiadomości o stoczonych przez naszych partyzantów walkach z Niemcami, jak na przykład o bitwie pod Sulejowem, pod Janikiem, na Świniej Górze czy też pod Gruszką. Te ostatnie podtrzymywały nas na duchu, ale jednocześnie smuciły, bo ginęli też nasi partyzanci – niejednokrotnie nasi bliscy i krewni. Partyzanci nasi ginęli również i przypadkowo. Prawdopodobnie w ten sposób złapany został przebywający „na melinie” w Miłkowie mój brat stryjeczny Henryk Nowak – pierwszy partyzant GL i AL z Jędrzejowa. Przewieziono go do gestapo w Ostrowcu, a po jakimś czasie rozstrzelano w Zawichoście. Żal i niepowetowana strata w rodzinie. Na szczęście los ustrzegł nas od dalszych ofiar tej wojny.

Mój ojciec, jako dawny sympatyk Komunistycznej Partii Polski, już od 1942 roku należał do GL i AL, a będąc przedwojennym podoficerem w stopniu plutonowego, w garnizonie bodzechowskim pełnił funkcję dowódcy placówki w Przyborowie. Wiedziałem o tym doskonale i bardzo się bałem, żeby nie wpadł w ręce gestapo. Przypuszczam, że do organizacji wciągnął go kolega z pracy – Jan Sarna – zamieszkały w Denkowie, z którym się bardzo zaprzyjaźnił. Był to z „krwi i kości” robociarz. Szczery, otwarty i zawsze życzliwy przyjaciel. Krępy, średniego wzrostu, w wieku mojego ojca, tryskający energią, humorem i dowcipem, pełen różnego rodzaju pomysłów i zaradności życiowej. Posiadał w córkę moim wieku, z którą zawsze z humorem mnie swatał. Jednym słowem – wspaniały człowiek. Wielka szkoda, że nie dożył wyzwolenia – zginął śmiercią bohaterską w 1944 roku w walce z Niemcami pod Gruszką lub na Świniej Górze.

* * *

Letnią porą 1943 roku odwiedził nas w Przyborowie wujek Stasiek z Jędrzejowa. Po paru godzinach zaczął się zbierać w drogę do domu. Ojciec postanowił go odprowadzić do Bodzechowa, więc wziął i mnie ze sobą. W Bodzechowie przy jednym z domów (była to niedziela) spotkaliśmy trzech żołnierzy własowców, którzy kwaterowali w cementowni. Rozmawiali z miejscowymi panienkami. Zatrzymaliśmy się na chwilę i ojciec wdał się z nimi w rozmowę, sugerując niedwuznacznie, że zamiast podrywać panny powinni pomyśleć o pójściu do lasu. Niemcy wojnę przegrywają – mówił ojciec – i prędzej czy później przyjdą do nas Ruscy. Żołnierze nie zareagowali na to – uśmiechali się tylko, lecz w drodze powrotnej, gdy byliśmy już przy cementowni, wyskoczyło do nas trzech własowców – jeden podoficer z pistoletem u pasa i dwóch szeregowych z karabinami. Zatrzymali nas, a podoficer po zrewidowaniu ojca chciał go zabrać na wartownię. Ja w tym momencie złapałem ojca za rękę i w płacz. Nie chciałem go puścić. Podoficer spojrzał na mnie, uderzył ojca dwa razy otwartą dłonią w twarz, po czym dał mu kopniaka w tyłek i kazał nam się wynosić. Poszliśmy jak zmyci. Prawie przez całą drogę do domu nie odzywaliśmy się do siebie. Ja myślałem o tym, że prawdopodobnie zachowaniem swoim udało mi się uratować ojca – on zapewne „trawił” w myślach swoją lekkomyślność w rozmowie z własowcami i gorycz upokorzenia.

* * *

Żyliśmy w ciągłym strachu nie tyle przed wojskiem niemieckim, co szczególnie przed gestapo. Poważnym zagrożeniem dla nas stawały się Narodowe Siły Zbrojne operujące w kieleckim i zwalczające komunistów.

Na początku 1944 roku ojciec otrzymał zadanie zmobilizowania swojej placówki i odebrania z cementowni kilkunastu własowców, którzy zgodzili się z bronią w rękę przejść do partyzantki. Z cementowni mieli ich odstawić na Wólkę, a stamtąd do lasu do oddziału partyzanckiego „Brzozy”. Ojciec wyszedł na akcję wieczorem i do rana nie wrócił, a na godzinę szóstą miał pójść do pracy w fabryce. Matka nie spała prawie całą noc. Zbudziła mnie rano, kazała pójść na Wólkę i zobaczyć, co tam się dzieje, gdyż z tego kierunku słyszała strzały. W domu zapanował strach o los ojca.

Po przybyciu na Wólkę w przemoczonych drewniakach (był styczeń lub luty i mokry śnieg zmieszany z błotem) zobaczyłem grupkę ludzi oraz dopalający się dom, na którym wisiał niewypał niemieckiego granatu trzonkowego. Ludzie ostrzegali mnie, abym nie podchodził bliżej, bo może wybuchnąć. W drugim domu leżał ranny (prawdopodobnie w kręgosłup, bo nie mógł się podnieść) własowiec w niemieckim mundurze. Prosił ludzi, żeby go dobili, gdyż jak przyjadą „Germańcy”, to będą się nad nim znęcać. Sam nawet próbował ściągnąć ze stołu nóż, którym chciał popelnić samobójstwo. Stojący ludzie nie mieli odwagi go dobić, a zarazem sumienia, aby pozwolić mu na samobójstwo. Jak się później dowiedziałem kilka godzin po moim odejściu przyjechało z Ostrowca gestapo, zaciągnęło go do lasu i tam zastrzeliło. Z przeprowadzonego przeze mnie „wywiadu” w Wólce niewiele wynikało. Z fragmentarycznych wypowiedzi zgromadzonych tam ludzi zdołałem się tylko dowiedzieć, że NSZ-owcy napadli na AL-owców i spalili budynek, w którym ci ostatni przebywali. Jednak nadal nie wiedzieliśmy co się stało z ojcem. Dopiero po południu tego samego dnia wrócił do domu, a tuż za nim przyszedł jego przyjaciel Jan Sarna. Oświadczył, że kiedy zauważył nieobecność ojca w pracy, zrozumiał, iż musiało się wydarzyć coś nadzwyczajnego i usprawiedliwił go u majstra – Chorwata.

Wydarzenie z własowcami, AL-owcami i NSZ-owcami ojciec przedstawił nam następująco. Początkowo akcja przebiegała zgodnie z planem. Grupa AL-owców wraz z ojcem, o umówionej godzinie późno wieczorem, udała się pod cementownię, gdzie za pomocą wcześniej uzgodnionego hasła nawiązała kontakt z wartownikiem – własowcem. Ten z kolei zebrał pozostałych kilkunastu chętnych do pójścia do lasu i wszyscy razem ruszyli przez Przyborów na Wólkę. Na skraju Wólki zostali zatrzymani przez jakiś oddział partyzancki znający ich hasło. Nie spodziewając się tutaj i o tej porze żadnego oddziału AL, byli zaskoczeni i nie do końca przekonani, że mają do czynienia ze swoimi. Ich obawy rozwiała wypowiedź w języku rosyjskim, łamanym przez polski: Podchoditje toworyszczy – nie bojsia, eto oddział „Brzozy”. Nastąpiło na pozór serdeczne powitanie, ale za chwilę rzekomi – jak się okazało – AL-owcy dyskretnie otoczyli grupę ojca, po czym padła ostra komenda: „Ręce do góry! Nie ruszać się!” Mój ojciec uważając, że to za jakiś dowcip dowódcy oddziału „Brzozy” i próba sprawdzenia odporności psychicznej żołnierzy z garnizonu, nie od razu podniósł ręce do góry. Uczynił to jednak natychmiast po otrzymaniu mocnego ciosu kolbą karabinu w piersi. Żarty się skończyły. Był to jakiś oddział NSZ. Oddział ten natychmiast podzielił się na dwie grupy. Jedna udała się w głąb Wólki, skąd wkrótce dobiegły odgłosy strzałów i wybuchy granatów. Druga, po załadowaniu AL-owców i własowców na furmanki, przez Przyborów pomaszerowała na Sowią Górę. Tu AL-owców i własowców wsadzono do pałacowej piwnicy, gdzie przebywali do południa następnego dnia. W południe każdego z AL-owców wprowadzano do pokoju „przesłuchań”. Tu jakiś oficer „przekonywał” ich o bezsensie prowadzonej przez PPR polityki, jej walki zbrojnej z Niemcami i pomagania w ten sposób bolszewikom, a stojący koło niego podoficer z pejszem utrwał te „przekonywania” paroma razami na tyłek. Po takim przesłuchaniu AL-owców wypuszczono. Co stało się z własowcami – początkowo nic nie wiedzieliśmy. Później dopiero dotarła do nas wiadomość, że NSZ-owcy (była to prawdopodobnie jakaś część oddziału słynnego „Bohuna”) wyprowadzili ich – w sumie około piętnastu – w Góry Świętokrzyskie i tam rozstrzelali.

* * *

Rok 1944 szczególnie obfitował w różnego rodzaju zaskakujące przypadki. Pamiętam, że było to letnią porą. Pewnego dnia o świcie zbudził nas odgłos dobijania się do domu. Zerwani ze snu zobaczyliśmy za oknem zielone, z niebieskim odcieniem porannego świtu, hełmy Niemców. Gdy matka otworzyła drzwi wpadli jak huragan do mieszkania i krzyżąc jak opętani kazali się ojcu ubrać. Zaczęli go wyprowadzać. Matka, płacząc, uczepliła się ojca i w swojej rozpaczynie nie chciała go puścić. Otrzymała jednak tak potężny cios kolbą karabinu w piersi, że upadła na ziemię i na krótki czas straciła oddech. Z chwilą wyprowadzenia ojca wyszedłem na podwórko i zobaczyłem, że cała nasza wieś jest otoczona, a wewnątrz pełno Niemców, którzy wyciągają z mieszkań dorosłych mężczyzn i prowadzą ich na mały placik koło kapliczki. Obserwując dalej przebieg wypadków zauważyłem, jak w pewnym momencie z wychodka stojącego koło jednego z domów wyskoczył mężczyzna w białej koszuli, ciemnych spodniach i boso zaczął uciekać po szynach kolejki w kierunku lasu. Spostrzegł go stojący na przejeździe Niemiec i zaczął do niego strzelać. Widziałem wyraźnie świetne pociski przelatujące obok niego. Jeden trafił go w tułów, lecz on uciekał dalej. Gdy zobaczył stojącego naprzeciw niego Niemca, skręcił w prawo do lasu, lecz i ten teraz zaczął do niego strzelać. Trafił go najprawdopodobniej po raz drugi,

gdyż po przebiegnięciu jeszcze paru metrów upadł na skraju wsi, przy samym lesie. Ten drugi Niemiec podszedł do niego, przewrócił nogą na wznak i prawdopodobnie stwierdziwszy, że szkoda naboju, gdyż uciekinier i tak umrze – nie dobijając go odszedł spokojnie, jak gdyby nic się nie stało. Jakby na polowaniu ustrzelił zająca czy lisa.

Gdy podeszliśmy z kolegą do rannego, zobaczyliśmy dwie duże krwawiące rany w okolicy żołądka. Człowiek ten, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć (w wieku około 25-30 lat, wysoki, dobrze zbudowany, żonaty), jeszcze żył. Jęczał z bólu i jakby chciał do nas coś powiedzieć, ale nie mógł. Po paru godzinach, po odjeździe Niemców – zmarł.

Od chwili aresztowania ojca (okazało się, że Niemcy urządzili wtedy oblawę i łapaną równocześnie w Przyborowie i Wólce) przeżywaliśmy wielką gehennę. Codziennie chodziliśmy z matką do Ostrowca, żeby podać mu coś do jedzenia. W upieczonym przeważnie z czarnej mąki placku przekazywaliśmy karteczkę z krótką wiadomością o nas. Chcieliśmy też popatrzeć na niego przez judasza w więziennej bramie podczas tzw. spacerów, gdyż nie wiadomo było czy jutro znów go zobaczymy, czy dowiemy się o tym najgorszym – o jego rozstrzelaniu.

Po powrocie do domu klękaliśmy z matką przed figurką Matki Boskiej i żarliwie modliliśmy się o szczęśliwy powrót ojca do domu. Za każdym pobycem w Ostrowcu wstępowaliśmy do ciotki Muchy, z którą matka naradzała się, co by tu zrobić, żeby ojca wydostać z gestapo. Na razie nie znajdowały jednak żadnego sposobu, a czas naglił. Wiadomo było przecież, że kto się dostanie w ręce gestapo, tego z reguły już nic więcej nie czeka, jak tylko śmierć.

Ostrowiec w tym czasie, jako miasto, sprawiał przynębiające wrażenie. Na wszystkich urzędach i ulicach wisiały hitlerowskie czerwone flagi z czarną swastyką. Wszędzie widziało się wiszące na słupach obwieszczenia w języku niemieckim i polskim, a na nich nazwiska rozstrzelanych Polaków, działających „na szkodę” III Rzeszy. Widać było prowizorycznie wzniesione na ulicach kapliczki, a przy nich grupy ludzi – przeważnie kobiety i młodzież – modlących się i śpiewających: „Pod Twoją obronę...” oraz przechodniów z szarymi, zasmuconymi i przestraszonymi twarzami. Rzuciła się w oczy i przytłaczała buta i hardość „rasy panów tego świata” w czarnych oraz zielonych mundurach ze znakiem swastyki oraz hitlerowskiej młodzieży „Hitler Jugend”.

Parę dni po aresztowaniu ojca matka wysłała mnie do lasu, abym zbierał dla niego trochę jagód. Wybrałem się razem ze swoim rówieśnikiem – Kacalą, którego ojczym również siedział w areszcie. Po przejściu kilkunastu metrów drogą na Sowią Górę zobaczyliśmy w lesie partyzanta z karabinem, za nim nieco dalej następnego, a przy samym wejściu na posesję pałacową – w bramie – jeszcze jednego. Ten ostatni, kiedy dowiedział się dokąd i po co idziemy, kazał nam zaczekać na placu aż do odejścia partyzantów. Na placu zobaczyliśmy całą masę dobrze uzbrojonych, ale różnie poubieranych ludzi. Niektórzy posiadali pełne umundurowanie polskie, inni na przykład tylko czapki rogatywki i wojskowe bluzy oraz cywilne spodnie, a niektórzy nawet częściowe mundury niemieckie. Tu spotkałem mojego brata ciotecznego – Edka Wójcickiego, który w partyzantce przebywał już parę miesięcy. Od niego dowiedziałem się, że jest to oddział „Brzozy” powracający zza Wisły, po zrzuceniu broni. Edek dowiedziawszy się, jak się tu znalazłem oraz o aresztowaniu ojca, był mocno zmartwiony, ale i bezradny.

Z pobytu u partyzantów „Brzozy” utkwił mi mocno w pamięci jeden dość charakterystyczny moment. Zobaczyłem zatrzymanych tam trzech AK-owców, poruszających się swobodnie po placu. Byli z bronią (angielskie stery), ubrani w popielate bluzy, bryczesy i buty oficerskie. Trzymali się z daleka od AL-owców i nie nawiązywali z nimi kontaktów. W pewnym momencie podszedł do nich znany mi z Jędrzejowa Gwizdowski, który – z pozycji jakiegoś dowódcy lub też oficera politycznego – zaczął do nich przemawiać. Mówił o Manifeście Lipcowym, o zbliżającej się Armii Czerwonej wraz z Wojskiem Polskim, o organizujących się w konspiracji radach narodowych, o bliskim wyzwoleniu Polski spod okupacji niemieckiej, o reformie rolnej i nacjonalizacji przemysłu, wprowadzeniu w kraju władzy robotników, chłopów, inteligencji pracującej i apelował, aby oni – AK-owcy – wspólnie z AL-owcami walczyli o te ideały. AK-owcy tylko słuchali i nie podejmowali z nim polemiki, ale po ich ironicznych uśmieszkach widać było, że jego argumenty nie trafiają im do przekonania i nie zgadzają się z nim.

Wieczorem, po wymarszu oddziału „Brzozy” z Sowiej Góry, zarówno my z kolegą, jak i AK-owcy zostaliśmy uwolnieni i każdy udał się w swoim kierunku. My oczywiście do domu, gdzie opowiedziałem matce co mnie spotkało i dlaczego nie przyniosłem jagód. Matka musiała się z tym pogodzić i przygotowała coś innego do paczki dla ojca.

Któregoś dnia przyszedł do nas Jan Sarna i oświadczył, że gdy powiedział majstrowi Chorwatowi o aresztowaniu ojca – ten bardzo się tym przejął i mocno ubolewał, iż zabrano mu tak dobrego i zdyscyplinowanego robotnika. Sarna radził też, aby matka sama poszła do Chorwata, postawiła mu bimbru i prosiła o wstawienie się za ojcem w gestapo. Matka skrupulatnie skorzystała z tej rady. Zaprosiła majstra do mieszkania ciotki Muchy, gdzie przy zakrapianej kolacji zwróciła się do niego o interwencję w tej sprawie, co też przyrzekł uczynić. Upłynęło parę dni i podczas kolejnego naszego pobytu z matką pod bramą więzienną ojciec wyszedł na wolność. Byliśmy szczęśliwi. Miałem wrażenie, że niebo się przede mną otworzyło!

Ojciec był brudny i niesamowicie przepocony. Cuchnął potem na odległość, ale ja idąc obok niego i trzymając go za rękę wchłaniałem ten pot całą pierśią i wydawało mi się, że przyjemniejszego zapachu nie wahałem jeszcze nigdy dotąd. Zdawałem sobie sprawę, że wyszedł z jaskini lwa i prawie cudem uniknął śmierci. Inni mieszkańcy Przyborowa i Wólki – i to spora liczba – mieli mniej szczęścia i zostali rozstrzelani. Czy ojcu pomógł Chorwat czy też gestapo nie miało na niego żadnego „haka” – nie wiem do dziś. W każdym bądź razie po powrocie do pracy podziękował Chorwatowi za „wyciągnięcie” go z więzienia, z czego ten był niezmiernie zadowolony i dumny, że jednak coś tu znaczy i nawet gestapo się z nim liczy.

* * *

Powiadają niektórzy, że obowiązuje tzw. prawo serii i chyba jest w tym część prawdy. Potwierdziły to w moim życiu powtarzające się z dnia na dzień wypadki w 1944 roku. Pewnego razu latem z oddziału leśnego przyszedł do swojego domu w Przyborowie partyzant – AL-owiec nazwiskiem Ptak. W polówce – rogatywce, bryczesach, butach z cholewami, no i z pepeszą na ramieniu. Ludzie patrzyli na niego z sympatią i życzliwością, a zarazem z z troskaniem o jego niepewny, partyzancki los. Pod wieczór ktoś zauważył, że do wsi od strony Bodzechowa zbliżają się ciężarowe samochody z wojskiem. Ptak, jak na skrzydłach, czmychnął do lasu, a tuż za nim zjechali Niemcy, otoczyli wieś i – o dziwo – nie zrobili łapanek, lecz ustawili karabiny maszynowe w kierunku lasu i strzelali w niego przez prawie dwie godziny.

Ojciec w tym czasie był w domu. Nie wiedzieliśmy co go może spotkać, więc modliliśmy się, aby Bóg zlitował się nad nami i nie dopuścił do jakiegoś ponownego nieszczęścia. Około północy wszystko się uciszyło i Niemcy odjechali, nie czyniąc tym razem nikomu żadnej krzywdy. Krążyły później po wsi pogłoski, że o pobycie w domu Ptaka musiał ktoś donieść na gestapo w Ostrowcu. Widocznie znaleźli się i tacy „życzliwi”. Podejrzewano o to nawet sołtysa, który należał do AK, lecz nigdy się to nie potwierdziło.

W tych dniach i miesiącach ciągłego strachu i niepokoju modlitwa do Matki Boskiej i Boga była u nas na porządku dziennym. Składaliśmy modły dziękczynne za przeżyty dzień i błagaliśmy o spokojną i szczęśliwą noc, albowiem nigdy nie wiedzieliśmy, co nam przyniesie najbliższa przyszłość – nie znaliśmy ani dnia, ani godziny. Nic, tylko strach i trwoga na każdym kroku!

Innym razem przyszedł do ojca jeden z partyzantów z AL, zdaje się noszący ps. „Góral”. Chłop jak dąb, wysoki, dobrze zbudowany, twarz szeroka, grubokoścista. Rzeczywiście w jakiś sposób przypominał autentycznego Górala. Omówił z ojcem jakieś sprawy organizacyjne, a dowiedziawszy się, że ja przepadam za bronią – pokazał mi swój pistolet „siódemkę” i poszedł w kierunku Bodzechowa. W Bodzechowie, za przejazdem kolejowym, spotkał dwóch żołnierzy niemieckich – oficera i podoficera z rowerem, a że był odważny, jak rzadko kto, postanowił ich rozbroić w biały dzień. Nie namyślając się wcale podszedł do nich, wyjął pistolet i krzyknął „Hände hoch!” Oficer natychmiast podniósł ręce do góry, natomiast podoficer zaczął ściągać karabin z pleców. Wtedy „Góral” strzelił do podoficera i gdy ten upadł na ziemię, czym prędzej zabrał oficerowi pistolet „parabelum”, a podoficerowi karabin oraz rower i pojechał w kierunku Przyborowa. Późnym wieczorem w ślad za nim zjechało kilka samochodów wojska i gestapo. Otoczyli wieś i zaczęli penetrować mieszkania, szukając zabranego przez „Górala” roweru i wyprowadzając mężczyzn. Ojciec tym razem leżał w łóżku zrezygnowany i bezradny, jakby sparaliżowany. Matki nie było – przebywała u babci. I znów ogarnął mnie ogromny strach, że Niemcy mogą go zabrać. Zastanawiałem się, co by tu zrobić, żeby w jakiś sposób uniknąć tego najgorszego. Zasłoniłem więc szczelnie okno kocem i siedzieliśmy cichutko jak przysłowiowe myszy pod miotłą. Zacząłem się modlić o jakiś cud. Już słyszałem przez ścianę gardłowe pokrzykiwania Niemców w mieszkaniu sąsiadów oraz płacz pani Golcowej, gdy zabierali jej męża i pół martwy ze strachu czekałem, kiedy przyjdą do nas. Upłynęła dobra chwila i wstąpiła we mnie nadzieja, że może jednak Niemcy nas ominą i stanie się cud, o który tak się modliłem. I stał się! Ale czy „cud”? Niemcy nas ominęli, ale najprawdopodobniej przez pomyłkę. Wchodząc do państwa Golców w ciemnościach nocy nie zauważyli oddzielnego, z drugiej strony, wejścia do nas (może przyczyniło się do tego również zasłonięte okno?) i zapewne byli przekonani, że są w jednym mieszkaniu, a nie domu bliźniaczym – dwurodzinnym. I to chyba uratowało ojca przed ponownym znalezieniem się w rękach gestapo. Nasz sąsiad, pan Golec, którego mój ojciec parę tygodni temu wciągnął do AL, nie miał takiego szczęścia i wraz z innymi mieszkańcami Przyborowa został rozstrzelany w Ostrowcu.

* * *

Front wschodni stał na Wiśle. Ruszył drugi front na zachodzie. Kielecczyzna roiała się od różnych jednostek wojskowych. Prawie w każdej wsi kwaterowali Niemcy. U nas w Przyborowie też. Tu w lesie pobudowali schrony, w których zgromadzili duże ilości broni i różnego rodzaju amunicji. Walczyła

Warszawa w patriotycznym zrywie powstańczym. Nasze oddziały partyzanckie rosły w siłę i staczały coraz poważniejsze potyczki i walki z Niemcami, jakby wcielając w czyn słowa piosenki: „My ze spalonych wsi, my z głodujących miast...” Zapanowała psychoza nieustającej walki z okupantem i nadzieja na rychłe wyzwolenie, chociaż na to trzeba było jeszcze poczekać prawie całą zimą.

Mnie również udzieliła się ta psychoza. Jak ja pragnąłem zostać partyzantem! Miałem pretensje do siebie i do wszystkich, że jestem jeszcze dzieckiem i nie mogą się spełnić moje marzenia. Aby w jakiś sposób zaspokoić swoje pragnienia robiłem z drewna karabiny oraz pistolety na strzały wypuszczane za pomocą gumy i udawałem partyzanta walczącego z Niemcami. Skonstruowałem nawet pepeszę, która w moim dziecięcym wyobrażeniu była najdoskonalszą bronią, bo przecież nią Rosjanie bili Niemców.

Jaki ja byłem dumny, gdy pewnego razu przyszedł do nas kandydat do oddziału partyzanckiego (pamiętam, że nazywał się Wnuk) i ojciec kazał mi go odprowadzić na „punkt”, który mieścił się u leśniczego Poletka, zamieszkałego na skraju wsi Wólka, skąd następnie miał być przekazany dalej. Wyobrażałem sobie i byłem wręcz przekonany, że spełniłem poważną rolę „łącznika” pomiędzy garnizonem AL, a oddziałem leśnym i wielce się przysłużyłem partyzanckiej sprawie.

Podczas jednego z pobytów u babci w Jędrzejowie zobaczyłem stojący koło domu motocykl kwaterujących tam Niemców. Otworzyłem bagażnik przyczepny i ujrzałem w kaburze pięknie oksydowany rewolwer bębnekowy, tzw. nagan rosyjski. Pomyślałem, że taki właśnie rewolwer przydałby się ojcu. Wyjąłem go z kabury i wsadziłem za pasek z myślą, że zrobię mu nie lada prezent. Zaczęły mnie jednak nachodzić różne myśli i trapić wątpliwości. A jeżeli Niemcy stwierdzą kradzież i zorientują się, że to ja jej dokonałem? Czy, jeżeli wezmą mnie na przesłuchanie i zaczną bić, wytrzymam i nie przyznam się? A jeżeli nawet nie przyznam się, to przejdą nad tym do porządku dziennego i nie aresztują mojego ojca? Zwyciężył rozsądek i troska o bezpieczeństwo ojca. Rewolwer ten – chociaż było mi go bardzo żal zostawić – odłożyłem na miejsce.

Był to czas, kiedy ojciec już nie pracował w Zakładach Martenowskich. Niemcy bowiem przed zbliżającym się frontem ewakuowali co cenniejsze maszyny i zakłady były częściowo unieruchomione. Postanowiliśmy więc, że ojciec przebywając całą dobę w domu, musi mieć gdzie się ukryć w razie obławy lub łapanki urządzonej przez Niemców. W domu skrytkę taką urządzono w kredensie, natomiast na zewnątrz – w stojącym w ogródku metrze sześciennym drewna. Został on tak ułożony, że w środku był pusty, a na zewnątrz okryty gałęziami sosny. Od strony domu znajdował się mały otwór, przez który wślizgiwało się do środka. Wewnątrz było siano oraz coś do okrycia. W pomieszczeniu tym ojciec – nawet bez widocznego zagrożenia – często spędzał czas w ciepłe noce i pogodne dni.

Pewnego słonecznego dnia ojciec przebywał w „metrze” – pewnie spał, a ja robiłem coś na podwórku, gdy nagle zobaczyłem zbliżających się do naszego domu dwóch żołnierzy niemieckich z pustymi workami na ramionach. Przyszli na podwórko i wskazując na stojący „metr” tłumaczyli, że potrzebują drewna. Wpadłem w panikę. Przecież tam jest mój ojciec! Co będzie, jak go tam odkryją? Pierwsza myśl, to za wszelką cenę odwieść ich od tego zamiaru! Złapałem narąbanego drewna, leżącego w drewni i zacząłem im nerwowo wpychać do worków. Niemcy patrzyli na mnie z lekkim zaskoczeniem i zdziwieniem, ale pozwolili sobie napakować worki i odstąpili od rozbierania „metra”. Och, jaka ulga. Nogi się pode mną uginały, ale serce zaczęło bić radośniej. I tym razem szczęście nam dopisało! Miałem niemało strachu, gdy po tym wszystkim Niemcy kazali mi się udać z nimi do lasu, gdzie kwaterowali. Myślałem, że mnie „obiją”, albo wykorzystają do jakichś robót. Niemniej byłem zdziwiony, jak przedtem wystraszony, gdy do jednego z worków, w którym przynieśli zapakowane przeze mnie drewno, włożyli całą głowę z zabitej świni, podroby oraz ściągniętą z niej skórę i kazali mi zanieść to do domu. Szedłem, jak na glinianych nogach, z przeżytego przed chwilą strachu i niesionego ciężaru. Gdy w domu matka zobaczyła, co przyniosłem – radość była niewypowiedziana. Cieszyliśmy się wszyscy i z uratowania ojca od niechybnej katastrofy i z czekającej nas „wyzerki”.

W lesie tym oprócz Niemców kwaterował również pluton świeżo wcielonych do wojska niemieckiego Rosjan. Pod nadzorem oficera niemieckiego nowowcielonych uczył musztry jakiś młody Rosjanin znający język niemiecki. Żywili się oni w kuchni polowej. Chodziliśmy do tej kuchni z garnuszkami i kucharz – co prawda nie zawsze, ale dość często – po nakarmieniu żołnierzy dawał nam zupę, która miała wyśmienity smak i nieraz była dla nas jedynym pożywieniem.

Kiedyś Niemcy przyprowadzili do tego lasu trzech jeńców radzieckich. Byli oni w opłakanym stanie. Brudni, nieogoleni, w rozlatujących się butach. Pierwszy raz widziałem wtedy mundur żołnierza radzieckiego. Kolor piaskowy, bluza zamiast kurtki, furażerka z gwiazdą i owijacze. Jakkolwiek robili oni przygnębiające wrażenie i wzbudzali litość, to jednak już sam ich widok wskazywał na to, że Rosjanie są blisko i rodziła się nadzieja na rychłe wyzwolenie.

* * *

Czy to z obawy przed bliskością frontu, czy też z jakichś innych przyczyn, gestapo jakby przycichło i przeczaiło się. Wzmógł się za to terror ze strony NSZ w stosunku do członków PPR i AL. Przytłoczyła

nas wszystkich wieść o dokonanym przez NSZ-owców mordzie na partyzantach AL pod Borowem, gdzie m.in. zginął syn Formów – sąsiadów babci z Jędrzejowa. Niemniej zbulwersowała nas wiadomość o dokonanej przez żandarmerię NSZ-owską masakrze na aktywie PPR i AL w jednym z majątków powiatu opatowskiego. NSZ-owcy metodą hitlerowską wylapywali co aktywniejszych członków PPR i żołnierzy AL z garnizonów, po czym doprowadzali ich do pałacu dziedzica, również członka NSZ, przy udziale którego byli przesłuchiwani, bici i katowani. Następnie półżywych wrzucano do suchej studni, skąd przez jakiś czas dochodziły jęki konających. Część mniej skatowanych odwieźli do Ostrowca przekazując w ręce gestapo.

Poczynania te zmobilizowały i postawiły w stan gotowości bojowej garnizony AL, do czego przyłączyły się również placówki BCH i NSZ-owcy spuścili z tonu.

* * *

Przyszła jesień 1944 roku i zaczęło się robić coraz chłodniej. Rąbałem drewno na opał w szopie, gdy w pewnym momencie przez szparę w ścianie ujrzałem idącego od strony kolejki w kierunku naszego domu sołtysa z dwoma żołnierzami niemieckimi. Szybko się zerwałem i zacząłem biec do mieszkania. Po drodze nie zauważyłem śpiącego przy progu naszego domu kundelka „Ciapka” i z rozpędu skoczyłem mu obutym drewniakiem na szyję. „Ciapek” stracił przytomność, bo nawet nie zaskomlał i dostał jakiejś trzęsawki. Złapałem go więc na ręce i wpadłem do mieszkania krzycząc „Niemcy!” Ojciec szybko wlaź do schowka w kredensie, a ja „Ciapka” do wiadra z wodą. Po takiej kąpieli „Ciapek” odzyskał przytomność, lecz do końca miał już skrzywiona szyję. Najprawdopodobniej uszkodziłem mu kręgosłup.

Po chwili do mieszkania weszli Niemcy z sołtysiem i zapytali, gdzie jest ojciec. Matka odpowiedziała, że nie ma go – został wywieziony na roboty do Rzeszy. Sołtys, chociaż dobrze wiedział, że to kłamstwo, po porozumieniu się z Niemcami kazał mi przygotować się i udać na zbiórkę koło kapliczki, gdzie było już kilkanaście osób. Stąd żołnierz niemiecki poprowadził nas na łąki do kopania okopów i rowów przeciwczołgowych. Napracowałem się solidnie, ale już sam fakt potraktowania mnie przez Niemców prawie jak dorastającego młodzieńca w znacznym stopniu dowartościował moją osobę.

* * *

Następne miesiące nie były już tak „bogate” w wydarzenia dla naszej rodziny. Ojciec w tym czasie brał czynny udział w organizowaniu konspiracyjnej gminnej rady narodowej w Bodzechowie. Naszej sąsiadce i jej córce – paniom A., których mąż i ojciec, były członek KPP, aresztowany przez gestapo w pierwszych latach okupacji zginął w Oświęcimiu – partyzanci obcięli włosy za współzycie z żołnierzami niemieckimi. Była to największa hańba dla kobiet polskich w okresie okupacji.

Odlamkiem bomby zrzuconej przez samolot radziecki na grupkę Niemców ranna została w brzuch pani Marcowa. Po paru godzinach, na skutek nie udzielenia jej fachowej pomocy lekarskiej, zmarła. Widziałem tę ranę. Przecięta skóra brzucha i wylazące na zewnątrz jelita. Straszny widok!

Sparaliżowała nas wiadomość o śmierci sławnego na Kielecczyźnie partyzanta, skoczka radzieckiego w stopniu kapitana – „Szaszki”. Zasłynął on z niebywałej odwagi i brawury oraz sprytu w wychodzeniu z różnych pułapek, zastawianych przez Niemców. Zginął tuż przed wyzwoleniem, podobno zupełnie przypadkowo natknąwszy się na niespodziewających się go Niemców. Opowiadano o nim niezliczone legendy, jak udawało mu się wychodzić ze zdawałoby się beznadziejnych sytuacji, a „kule się go nie imaly”. Jeszcze za jego życia ułożono i śpiewano piosenkę do słów:

„Księżyc zaszedł za chmury,
a „Szaszkowcy” szli sznurem,
każdy głowę napiętą trzymał,
krew po żyłach krążyła,
nasze siły burzyła,
gdy nam „Szaszko” rozkazy dawał...
Okrażamy pokoje, warta stoi przy broni,
„Szaszko” z grupą wskakuje do drzwi,
„Hende hoff” – krzyczy głośno,
szwabę ręce podnoszą, a ze strachu skakają jak psy...
Gdy wracali z powrotem, wsie budzili tupotem,
wiatr piosenkę układał o nas, o „Szaszkowcach” odważnych,
o ich czynach poważnych, którzy niosą swobodę dla mas...”

„Szaszko” był idolem i ulubieńcem, zarówno braci partyzanckiej AL, jak i miejscowej ludności. Toteż po wyzwoleniu, w dowód wdzięczności za jego bohaterskie czyny w walce z okupantem hitlerowskim, wystawiono mu w Ostrowcu pomnik.

* * *

Pod koniec 1944 roku Niemcy sprowadzili, zbudowane na szynach kolejowych, najcięższego chyba kalibru w tej wojnie działko i zza Bodzechowa systematycznie co wieczór oddawali po jednym strzale za Wisłę. Najpierw był oślepiający błysk, a po chwili niesamowity huk. Drżały budynki, a szyby w oknach o mało nie wylatywały. Słychać było świszający lot pocisku, a po jakimś czasie wybuch po tamtej stronie frontu. Rosjanie nie pozostawiali im dłużni i również strzelali z dalekosiężnych dział w kierunku Niemców. Ich działa jednak były najprawdopodobniej mniejszego kalibru lub było ich więcej, gdyż oddawali parę strzałów, jeden po drugim, ale wybuchy pocisków były słabsze.

Na przełomie listopada i grudnia Niemcy polali benzyną, a następnie podpalili i wysadzili w powietrze bunkry z bronią i amunicją w lesie koło Przyborowa. Wyjechali gdzieś i we wsi zapanował względny spokój. Nocą przylatywały tylko radzieckie dwupłatowe samoloty zwiadowcze zwane kukuruznikami i krążąc nad Ostrowcem, od czasu do czasu, zrzucały małe bomby. Niemcy szukali ich reflektorami, a po złapaniu w światła ostrzeliwali z działek przeciwlotniczych różnokolorowymi pociskami świetlnymi. Był to niesamowity widok! Podziwialiśmy odwagę i umiejętności pilotów radzieckich. Widzieliśmy, jak samolot złapany w światła reflektorów i ostrzeliwany różnokolorowymi „paciorkami”, nagle wyrывa się ze snopu światła, wyłącza silnik i ginie, żeby znów gdzieś z boku dać znać o sobie swoim warkotem. I znów szukanie go, znalezienie, ostrzeliwanie i zniknięcie. Tego rodzaju „zabawy” powtarzały się dość często, ku naszej radości.

* * *

Nadszedł styczeń 1945 roku. Rozmokły śnieg i „psia” pogoda. Niemców nie ma. Cisza, jakby w ogóle wojny nie było. Nagle ktoś krzyczy: „Ruscy w Bodzechowie”. Nie za bardzo wierzymy. Postanawiamy to sprawdzić i razem z ojcem ruszamy do Bodzechowa. Ukazuje nam się niezwykle widok. Szosą na Ostrowiec rzeczywiście idzie wojsko rosyjskie. Ale jakieś dziwne. W czapkach uszankach, kufajkach, walonkach. Jeden z karabinem, drugi z pepeszą, trzeci z pepeesem. Pomieszane to jakieś: tu piesi, tam samochód ciężarowy „Zis-5”, gdzie indziej kozacy na koniach – kucykach, w papachach z różnokolorowymi denkami. Ani porządku, ani ładu, ani składu. Co to za wojsko? Co to za armia?

Szczerze mówiąc, cieszyłem się z tej pierwszej chwili wolności. Skończyła się przecież gehenna okupacji niemieckiej, chociaż nie za bardzo docierało to do mnie. Równocześnie byłem jakby zawiedziony i rozczarowany tym widokiem. Radykalnie zmieniłem zdanie o Armii Czerwonej po tym, jak w parę dni później do Przyborowa przybyła jakaś tyłowa jednostka i trzech żołnierzy zakwaterowano w naszym mieszkaniu. Jeden z nich zapytał matkę, czy ma coś do zjedzenia. Odpowiedziała, że ma tylko ziemniaki. Poprosił ją więc o ich ugotowanie. Następnie wyjął z „mieszoka” kawał owiniętej w gazetę słoniny i kazał ją usmażyć do tych ziemniaków. Po przygotowaniu posiłku w dużej misce i podaniu łyżek, matka poprosiła ich do stołu. My natomiast usiedliśmy z boku i patrzyliśmy na parujące oraz pachnące smakołyki. Chwila konsternacji z ich strony, a następnie serdeczny, zapraszający nas gest do wspólnego posiłku. I nie najważniejsze było tu zaspokojenie głodu. Najistotniejszy był ten gest, ta szczerza słowiańska dusza. Takiego gestu nie doznaliśmy nigdy ze strony Niemców.

Na drugi dzień jednostka zbierała się do wymarszu. Dopiero tu zobaczyłem sprawność, karność i zdyscyplinowanie żołnierza radzieckiego. No – pomyślałem sobie – teraz to się nie dziwię, że Rosjanie biją Niemców. To jest wojsko, które z pewnością dojdzie do Berlina.

* * *

Na naszych terenach wojna się skończyła, ale nadal zbierała swoje żniwo, a skutki tego odczuwaliśmy niejednokrotnie dość boleśnie. W wysadzonych przez Niemców schronach pozostało dość dużo nie spalonej i nie zniszczonej broni oraz różnego rodzaju amunicji. Chodziliśmy tam teraz i wybieraliśmy co lepsze, nie uszkodzone karabiny, a że i amunicji do nich było bez liku, więc strzelaliśmy jak na froncie. Rozbieraliśmy też ładunki artyleryjskie, z których wybieraliśmy proch – długi w postaci rurek i drobny w jedwabnych opakowaniach, a następnie paliliśmy go dla zabawy.

Taką „zabawę” urządził sobie pewnego dnia w mieszkaniu mój brat Edek. Pod paleniskiem postawił pudełko z drobnym prochem, a rurki pałeczki spalał na ogniu przy otwartych drzwiczkach pieca kuchennego. W pewnym momencie trzymana przez niego w rękę pałeczka oparzyła go i upuścił końcówkę w pudełko. Nastąpił wybuch znajdującego się tam prochu i krzyk Edka. Został poparzony na nogach i twarzy, a najwięcej ucierpiała prawa ręka, w której trzymał rurkę prochu. Matka wyleczyła go różnymi domowymi sposobami i jakoś nie zostały mu większe ślady po oparzeniu.

Głośnym echem, nie tylko w naszej wsi, odbił się wypadek, jaki spotkał około 20-letniego kawalera Piecyka. Zawiedziony w miłości i trochę „podchmielony” chciał swojej byłej narzeczonej wyjeżdżającej do ślubu z innym urządzić taki „fajerwerk”, aby zarówno konie ją powożące, jak i ona, mocno się

wystraszyły. Wziął więc sponkę – detonator od dużego kalibru pocisku artyleryjskiego i włożywszy do niej laskę prochu, podpalił go. Chciał rzucić pod nadjeżdżające powozy, ale nie zdążył. Nastąpił potężny wybuch. Sponka rozerwała mu się w ręce urywając prawą dłoń, kalecząc twarz i wypalając oczy. Został kaleką na całe życie. Niewidomy i bez prawej ręki, a w kwiecie wieku. Do czego może doprowadzić brawura, niefrasobliwość oraz brak rozsądku i wyobraźni i to nie tylko u dzieci, ale i u starszych!

Podobny, chociaż mniej groźny w skutkach wypadek, spotkał również i naszą rodzinę. Ojciec wyjechał już na Ziemię Odzyskane, skierowany tam do organizowania nowej, polskiej administracji państwowej w Koźuchowie w ówczesnym województwie wrocławskim. Pewnej niedzieli przyszedł do nas z Zygmunty mój brat cioteczny Tadek Kochański z małokalibrowym rewolwerkiem na jeden nabój, sugerując nam, że pasowałyby do niego sponki od pocisków mózdzierzowych, których nie brakowało u nas w lesie. Wzięliśmy więc młotek, przecinak i udaliśmy się do lasu. Tu zaczęła się cała „operacja” wydobywania z pocisku mózdzierzowego pożądanej przez nas sponki. Mój brat Edek trzymał pocisk prawą ręką za zwężoną, dziurkowaną część, a Tadek Kochański przecinakiem i młotkiem próbował wyjąć sponkę. Przyglądał się temu brat Tadek, a ja odszedłem trochę dalej – czegoś szukałem. Po chwili nastąpił wybuch. Obejrzałem się i zobaczyłem krwawiącą rękę Edka, a u brata Tadka nogi prawie czarne od wbitego w ciało prochu. Tadekowi Kochańskiemu nic się nie stało. Widok ręki Edka był okropny – wiszące strzępy ciała na wskazującym palcu i sterząca biała kość. Złapałem go natychmiast za lewą rękę i pobiegłem z nim do domu. Tu matka zrobiła Edkowi prowizoryczny opatrunek, a następnie odprowadziliśmy go do szpitala w Ostrowcu, gdzie ucięto mu kość wskazującego palca. Do dziś ma pamiątkę „operacji” wyjmowania sponki z pocisku mózdzierzowego. Tadek natomiast dość długo „lizął” się z prochu, wydłubując go sobie z nóg do ostatniego ziarenka. I tak dobrze, że cała ta „operacja” tylko na tym się skończyła. A gdyby tak wybuchł cały pocisk, nie tylko ładunek miotający? Trudno sobie to wyobrazić. Zostałyby z nas chyba tylko kupa krwawego mięsa.

* * *

Jesienią 1945 roku przyjechał ojciec i z całą rodziną wyjechaliśmy na zachód, osiedlając się w Koźuchowie, gdzie czekało już na nas przygotowane mieszkanie. Po pierwszych zachwytach i fascynacji warunkami mieszkalnymi zaczęła mnie ogarniać nostalgia i tęsknota za stronami rodzinnymi. Często stawałem w kuchni przy oknie, wychodzącym na wschód i w wyobraźni widziałem swoją rodzinną wieś, Jędrzejów, Przyborów, Ostrowiec Świętokrzyski i przebywających tam krewnych. Wmawiałem sobie, że przecież tam miałem tylko niedostatek, biedę i ubóstwo, a tu – prawie same luksusy. Tęsknota jednak nie opuszczała mnie. Zrozumiałem, że tam było mi wszystko znane od najmłodszych lat, takie swoje i drogie, a tu jakieś obce. Wydawało mi się, że nawet powietrze, którym oddycham, ma inny – jakby gorszy – zapach.

Mijały miesiące i lata. Przeszedłem okres szkoły podstawowej i gimnazjum. Nawiązałem nowe znajomości i przyjaźnie. Tęsknota za rodzinnymi stronami zaczęła powoli i stopniowo mijać. Pozostał jedynie naturalny i zrozumiały sentyment.

* * *

Lata okupacji niemieckiej pozostawiły, bo nie mogło być inaczej, głębokie ślady w mojej psychice. Długo jeszcze – nawet już w dorosłym życiu – prześladowały mnie różne majaki senne. Śniły mi się widziane za oknem hełmy niemieckie, urządzane oblawy i łapanki, a ja to uciekałem nie mogąc przebieierać nogami, to strzelałem do Niemców z pistoletu, lecz pociski – widziałem to wyraźnie we śnie – leciały bardzo wolno i łukiem spadały im pod nogi. Doprowadzało mnie to do rozpaczki z własnej niemocy i wielkiego strachu. Budziłem się zmęczony i zlany potem.

Czas jednak zrobił swoje i pozostała mi tylko żywa pamięć tamtych makabrycznych i pełnych strachu oraz niepewności, mrocznych dni i lat hitlerowskiej okupacji. Oby już nigdy się nie powtórzyły!